

Ignacy Loyola

SAM I NA PIECHOTĘ

José Ignacio
Tellechea Idígoras

Przekład
Katarzyna Jachimska-Małkiewicz

Wydawnictwo WAM ■ Księża Jezuici
Kraków 2014

WSTĘP

Fantastyczna wizja i źródła

Gdyby Ignacy Loyola wrócił dziś *incognito* w swoje ojczyste strony – jak to uczynił w 1535 roku – niewątpliwie miałby spore trudności z rozpoznaniem rodzinnego miasteczka. Gdzie się bowiem podziały kręte średniowieczne uliczki, mury obronne, stara wieża parafialnego kościoła? Przebudowany w późniejszych czasach pałac Emparan odbiłby się przynajmniej w jego pamięci echem znajomego nazwiska, jako że Emparanowie byli spokrewnieni z rodem Loyolów. Również klasztor Sióstr Franciszkanek od Niepokalanego Poczęcia pochodzi z późniejszego okresu i choć w miasteczku określa się mieszkające tam zakonnice mianem *monja xarrak* – starych zakonnice – Ignacy mógł znać jedynie pierwotne zabudowania klasztoru z końca XV wieku. Za to okazały dom Anchietów, osobliwie tchnący stylem *mudejar*, zapewne ożyłby w jego pamięci, choć nazwisko to niosło z sobą ponure wspomnienia rodzinnych waśni nierzadko prowadzących do rozlewu krwi. Gdyby zajrzał do kościoła parafialnego, znalazłby tam odrestaurowaną chrzcielnicę, a obok niej napis, który zapewne poruszyłby go do głębi: „Tu został ochrzczony Ignacy Loyola”. Przechadzając się uliczkami starego miasta, które z czasem obrosło w nowe dzielnice i mało estetyczne fabryki, natknąłby się na ulicę Świętego Ignacego; a gdyby, zaciekawiony, zaczął wypytywać przechodniów, kim był patron ulicy, u części z nich odkryłby entuzjazm i szczerą afekt dla znamienitego rodaka, podczas gdy inni okazaliby obojętność czy niechęć

wobec Świętego, a niektórzy – o dziwo – wręcz zaprzeczyliby temu, że był Baskiem. Fakt, że zupełnie obcy ludzie umniejszają czyjeś zasługi lub odmawiają przynależności narodowej, jest bolesny, ale wybaczalny; ale żeby robili to rodacy?!...

Z goryczą w sercu Ignacy opuściłby stare miasto, kierując się do leżącej nieopodal Loyoli, będącej przez wieki kolebką jego przodków i miejscem, gdzie on sam przyszedł na świat. Malownicza dolina do dziś cieszy oczy tą samą co dawniej zielenią, w tym samym miejscu trwa zastygła w bezruchu i niewzruszona góra Izarraitz, wyzywając upływające stulecia. Gdzie się jednak podziła kapliczka Olatz, w której tyle razy modlił się do Matki Boskiej? Gdzie olbrzymi dąb, który wyróżniał się w gąszczu lasu, wskazując drogę do rodzinnego zamku? Co się stało z wielką budowlą z szarego kamienia wznoszącą się w pobliżu warowni, z olbrzymią kopułą wybudowaną jeszcze przez Iberów? Wieczny Pielgrzym Ignacy, zatajając swe imię, wstępuje w progi wspaniałej bazyliki. W niszy usytuowanej wysoko nad głównym ołtarzem znajduje się jego podobizna. Ta figura Świętego ozdobiona setkami kilogramów czystego srebra to dar Stowarzyszenia Guipuzcoańskiego w Caracas z XVIII wieku. Podążając za powolnym nurtem sunących turystów, zagubiony i zdeorientowany wśród nawału wrażeń, Ignacy opuszcza portyk bazyliki i dochodzi do miejsca obowiązkowego zwiedzania, które zwie się dziś Świętym Domem. Serce zaczyna mu gwałtownie kołatać – oto ma przed sobą ściany rodzinnego zamku. Nie ma możliwości pomyłki. To te same solidne kamienne mury, ta sama płaskorzeźba z herbem rodowym, nadbudówki z cegły wzniesione przez dziadka Juana po wyburzeniu – z rozkazu króla, za karę – wież strażniczych. Nie mógłby też nie rozpoznać dwóch rzeźb umieszczonych na osobliwym podworcu, które musiały obudzić w nim wiele wspomnień: jedna przedstawia wyniosłego rycerza zakutego w ciężką zbroję, druga – grupkę żołnierzy transportujących na noszach ранnego, na którego

spotkanie wybiega z domu uradowany pies. Ignacy przypomina sobie, jak pies miał na imię i jak wiernie towarzyszył mu podczas długich dni pełnych bólu i osamotnienia.

Bez wahania przestępuje próg *swojego* domu, wtapia się w tłum turystów, wysłuchuje wyjaśnień przypadkowego przewodnika. Mówią o nim, ciągle o nim. Wypełnia tu każdy kąt, on i jego rodzina, ale nie ta, z którą łączyły go więzy krwi – o tamtych nikt dziś nie pamięta, choć kiedyś byli tak dumni i pyszni! – lecz duchowa. Są teraz wszędzie, co rusz natyka się na ich wyrzeźbione postacie, pamiątki z życia, relikwie, wizerunki na przepięknych witrażach. Albo tutaj: grupa mężczyzn chroniących się pod płaszczem Matki Boskiej we wnętrzu kaplicy, którą urządzono w pomieszczeniu, gdzie w jego czasach, tak dziś odległych, znajdowała się kuchnia. Ta sama kuchnia, w której zimową porą snuto niekończące się opowieści przy trzasku pękających na piecyku kasztanów. Co nowego mogą mu powiedzieć przewodnicy? Przecież wie nieskończenie więcej na temat samego siebie, rodziny, na temat swoich nieodłącznych towarzyszy. O wiele bardziej interesuje go wszystko to, co tylko on jeden jest w stanie dostrzec: pod warstwą bogatej sztukaterii odkrywa prawdziwe oblicze pierwotnego domostwa, mocarne belki stropów chroniące teraz wystawne kaplice i ołtarze. Zapęłnia je w wyobraźni łóżkami, szkrzyniami i innymi meblami z dębowego czy kasztanowego drewna. Bez trudu rozpoznaje pełen wdzięku obraz przedstawiający Zwiastowanie, dar królowej Izabeli dla Magdaleny Araoz, ukochanej bratowej, która matkowała mu i otoczyła go opieką, kiedy leczył się z ran, a potem powoli wracał do zdrowia. Największe emocje budzi w nim jednak wizyta w pokoju na piętrze, z którym wiąże się tak wiele wspomnień, ożywionych teraz przez polichromowaną rzeźbę przedstawiającą młodego rycerza-rekonwalescenta, który podnosi wzrok znad trzymanej w dłoniach książki, żeby spojrzeć na drewnianą figurkę Matki Boskiej będącą marnym przedstawieniem tej, którą pewnego

dnia rzeczywiście zobaczył. Jego wielka przygoda tak naprawdę rozpoczęła się właśnie tutaj i właśnie wtedy. Wygląda przez okno, wpatrując się w szczyt góry Izarraitz – to jedyne, co przetrwało nietknięte do dzisiaj i co w najdoskonalszy sposób przynosi go teraz w przeszłość, pozwalając pogрузić się w ówczesnych przeżyciach. To w tych ścianach powoli i w bólach rodził się po raz drugi i ostateczny – do życia, którym nie rządzi rytm biorący początek z fizycznych głębin ludzkiego ciała. Wszystko, co wydarzyło się do owej chwili, tyle lat życia, okazało się próżne i pozbawione wszelkiego znaczenia, przeobraziło się w rozwiewane przez wiatr smugi dymu, kiedy ochoczo spalił wszystko, co wcześniej kochał i podziwiał. Marzenia snute przez tyle wieczorów w samotni tego pomieszczenia naznaczyły na zawsze życie, które dopiero od owej chwili stało się naprawdę jego własnym życiem. Chociaż, na dobrą sprawę, żeby nie minąć się z prawdą, należałoby powiedzieć, że bardziej niż do niego, życie to należało od tej pory do Kogoś innego – do Tego, który poprowadził go drogą, o której nawet mu się nie śniło w owym gorączkowym i pełnym projektów okresie przemiany. Gdzie bowiem skończył ówczesny aspirant na kartuskiego pustelnika? „Niewielu ludzi żyje swoim własnym życiem” (Georges Bernanos).

Po opuszczeniu pokoju, już na schodach, czuje nagle, że ogarnia go jakiś osobliwy smutek. Każdy kąt przywołuje na pamięć tyle wspomnień... ale w żadnym z nich nie dostrzegł zarysu twarzy czy figury matki. Jego dziecinne źrenice nigdy nie zarejestrowały jej widoku, nie mógł więc jej pamiętać, z niczym skojarzyć. A może najgłębszym sekretem jego wędrownego życia było właśnie podświadome poszukiwanie nigdy niepoznanej matki? Może była to instynktowna, niemal biologicznie uwarunkowana próba tamowania krwi płynącej bez ustanku z rany, którą spowodował brak matczynej miłości? Pamiętał brata Martína, który został dziedzicem majątku Loyola, jako że pierworodny syn poległ na wojnie we

Włoszech; pamiętał brata Pedra, duchownego o dominującym charakterze i rozwiązłym trybie życia, który został proboszczem w Azpeitii; Hernanda, który zaginął w Ameryce; Ochoę, który zmarł w młodym wieku tu, w tych murach; Magdalene, która przygarnęła go u siebie w Anzuoli, kiedy wieziono go rannego z Pampeluny; Beltrána, Juanizę, Petronilę, Sanchę... Wokół domostwa trzepoczą też cienie nieślubnego potomstwa, które niewątpliwie należałoby dopisać do drzewa rodzinnego Loyolów. Duma i rozpusta – to był ich prawdziwy herb rodowy. Loyola oznacza błotniste bajoro. On był ulepiony z tej samej gliny co oni i byłby kolejnym ogniwem tego samego łańcucha, gdyby nie to, co wydarzyło się w tym właśnie pokoju, który teraz opuszcza.

Gdzie się podział folwark Eguibar stojący niegdyś nieopodal rodzinnego domu? To tam mieszkał kowal Errasti z żoną Marią Garín – mamką, która wykarmiła go w dzieciństwie. To jej zawdzięcza życie, a z nim wszystko inne; bo przecież to dzięki życiu doczesnemu stajemy się tym, czym ostatecznie jesteśmy. Czy stoi jeszcze kuźnia, gdzie po raz pierwszy zobaczył, jak silnymi uderzeniami młota kuje się gorące żelazo? On również został ukształtowany w podobny sposób, ukuty przez życiowe ciosy, i w tenże sam sposób pragnął kształtować później swoich towarzyszy. Idzie dalej. Niespodziewanie coś przykuwa jego wzrok: tuż obok rodzinnego domu mieści się ośrodek rekolekcyjny. Pyta wybranego na chybił trafił jezuitę, który udziela mu wszelkiego rodzaju wyjaśnień. Okazuje się, że to ośrodek promocji i kształcenia duchowego, gdzie udziela się uwspółcześnionej wersji *Ćwiczeń duchownych* świętego Ignacego i gdzie wydawana jest publikacja o osobliwym tytule „Manresa”. Gość przystaje niemy i skupiony, przeskoczywszy kilka wieków, pogrąża się na chwilę w zakamarkach własnej duszy. Potem wstępuje do biblioteki, gdzie – o dziwo – pozwalają mu przejrzeć jego własne książki. I znów odnajduje we wszystkich tekstach siebie. Co mogą mu jednak objawić,

czego by sam nie wiedział? Serce bije mu mocniej na widok znajomych tytułów: *Ćwiczenia duchowne*, *Formuła Instytutu*, *Dziennik duchowny*, *Konstytucje*. Mozolnie i bez pośpiechu czytelował w nich każde słowo. Dlaczego teraz są doprawione osobliwymi dodatkami w postaci uczonych wstępów i przypisów mających na celu wypełnianie luk, odgadywanie intencji, budowanie zawyłych interpretacji? Czy rzeczywiście wszystko to jest tak bardzo skomplikowane? Wydaje mu się, że podążał po prostu własną drogą; to prawda, że czasem natrafiał na niespodziewane wertepy, ale jego droga była prosta i nieskomplikowana, jak koryto strumyka, który nieopodal spływa ze szczytów Pagotxety, odpowiadając bezbłędnie na zew doliny i płynącej nią rzeki Urola. To prawda, że długo się opierał, wzbraniał się przed opowiedzeniem historii swego życia, lecz w końcu w przyptywie starczej łaskawości uległ natrętnym namowom i zdał sprawę z niektórych jego urywków. Choć zachował dla siebie pewne trudne do sformułowania sprawy, sekretne wewnętrzne przeżycia – jak to możliwe, że historia jego wędrownego życia wypełniła aż cztery opasłe tomy opatrzone tytułem *Fontes narrativi de Sancto Ignatio*? Czyżby aż tyle miejsca zajęło opowiedzenie jego prostego żywota? I kim byli ci niedyskretni i tak niezwykle płodni narratorzy?

Przejrzał spis treści – co rusz przykuwały w nim wzrok znajome nazwiska, które bezwiednie okraszał w myślach wiele znaczącymi i celnymi epitetami: poważny i dostojny Laynez; słodki, anielski wręcz, a przy tym niezwykle skrupulatny Faber z Sabaudii; cierpliwy Polanco, który mimo obarczenia go tak wieloma obowiązkami wytrzymał u jego boku tyle lat, zawsze zapracowany, niczym prawdziwy kastylijski muł. I Nadal, wielki entuzjasta, mimo iż na początku przez wiele lat odrzucał jego kolejne zaproszenia. I Gonçalves da Câmara, który miał szczęście zostać jego powiernikiem. To dziwne! Nawet dziś nie potrafiliby wytłumaczyć, dlaczego to właśnie jemu zaufał, a nie komuś z wąskiego grona pierwszych towarzyszy

z Paryża. Dalej pojawiał się Ribadeneira, który wypełnił grubym tom swą piękną prozą rodem z Toledo. Jak to możliwe? Ten psoty czternastolatek, paź kardynała Farnese, który pewnego razu tak narozrabiał, że przyszło mu uciekać z dworu opiekuna i został przyjęty do Towarzystwa Jezusowego, gdzie musiał się pogodzić z towarzystwem pełnych powagi intelektualistów; który nie opuszczał go ani na krok i zadawał pytania, jakie można było wybaczyć jedynie przez wzgląd na jego młody wiek i żywy temperament? Pielgrzym nie może powstrzymać ciekawości i zagląda do prologu. – Cóż za napuszony i górnolotny wstęp napisał nasz tolekańczyk! – wykrzykuje w duchu. – Jakże inny był w czasach, kiedy go przygarmałem.

Jego wzrok pobiegł kilka akapitów dalej i nagle ogarnęła go fala niezmiernej tkliwości, szczerzej i spontanicznej, był przecież sam, niepodglądany przez nikogo. Przez dobrą chwilę smakował czytane słowa: „To wyraz pobożnego i zasłużonego podziękowania i miłych sercu wspomnień, to najśodsza pamiątka po tym błogosławionym człowieku i Ojcu moim, który zrodził mnie w Chrystusie, wyżywił i wychował. Wyznaję, że to dzięki jego pobożnym łzom i żarliwym modlitwom jestem dziś tym, kim jestem, to jemu zawdzięczam wszystkie moje skromne osiągnięcia... Opowiem wszystko to, co sam słyszałem, widziałem i czego dotknąłem własnymi rękami u naszego Błogosławionego Ojca Ignacego, przy którego piersi wychowywałem się od dzieciństwa i wczesnej młodości... w domu i poza domem, w mieście i poza nim nie odstępowałem go ani na krok, zawsze mu towarzyszyłem, byłem jego sekretarzem i służyłem we wszystkim, w czym się tylko dało, odnotowując wszystkie prowadzone przez niego sprawy, wszystko, co mówił i robił”... Wygląda na to, że przynajmniej ten biograf przygarmany w dzieciństwie darzył go głęboką wdzięcznością, a wdzięczność była dla Pielgrzyma największą cnotą u każdej szlachetnej duszy, u każdego prawego człowieka, prawdziwego chrześcijanina. I niewątpliwie bardzo bystry

i wnikliwy był ów Ribadeneira, gdyż w przeciwnym razie nie byłby w stanie napisać wielu innych celnych fragmentów, które Ignacy odkrywa teraz co kawałek w tym obszernym dziele: rzeczywiście, bezbłędnie odgadł, że pod warstwą spokoju i opanowania, które dominowały w zachowaniu Pielgrzyma, chował się człowiek „krewki, porywczej natury”, odważył się nawet insynuować, że Pielgrzym przybierał i zdejmował „coś w rodzaju maski i surowego oblicza oraz że robił to kiedy i jak chciał”.

Sprytny Ribadeneira nie potknął się tam, gdzie zaplątał się szczerzy i prostolinijny Laynez, który wszystko brał tak bardzo na serio. Oczywiście gościowi-czytelnikowi bardzo przypadło do gustu końcowe zdanie napisane na jego temat przez dawnego ministranta i pomocnika: „Miał wiele cech, które sprawiały, że był bardzo kochany przez najbliższe otoczenie”. W sumie ciekawski Pielgrzym stwierdza ze zdumieniem, że owi czcigodni Ojcowie, będący przykładem dyskrecji i powściągliwości, nie przestawali go szpiegować, co rusz wdzierali się w jego tak silnie strzeżoną intymność i – jeszcze za jego życia, choć w znacznie większej mierze dopiero po śmierci – ustanowili coś w rodzaju serdecznej i pełnej uwielbienia rywalizacji mającej na celu ocalenie wszelkich wspomnień z nim związanych. W końcu miłość pozwala poznać kogoś lepiej niż nienawiść.

Obok tych dowodów pełnego miłości uwielbienia istniały również inne biografie, zimne i odległe, kryjące podłoże ogólnej antypatii. Były też przykłady nienawiści niekryjące się za żadną maską. Mógł się o tym przekonać, przeglądając poustawiane na półkach biografie, w których czekało na niego wiele ogromnych niespodzianek, odkrył bowiem, że oprócz wielbicieli miał też zaciekłych wrogów. Wielu z nich intrygowała tajemnica siły duchowej Loyoli, nie przestawali więc grzebać w jego osobowości, tworząc różne złudne teorie na temat tej zagadki. Jeden z nich nazwał go genialnym psychologiem, którego celem było wkręcenie się w wyższe sfery (H. Boehmer), inny określał

mianem dyplomaty-intryganta ulegającego pokusom władzy i pragnącego rządzić światem chrześcijańskim ze swego punktu dowodzenia w Rzymie (Fülöp-Miller). Zapalonym mówcą musiał być człowiek, który najpierw wychwalał go jako geniusza organizacji wojskowej i najwyższej klasy generała, a dalej zapewniał, że chciał unicestwić wolność, doszczętnie zniszczyć człowieka i doprowadzić ludzkość do samobójstwa (E. Castelar). Inny nazywał go „dyktatorem dusz”, człowiekiem oschłym, niewzruszonym oraz hipokrytą, który „nie jest ojcem, cieszącym się i martwiącym razem z bliskimi” (L. Marcuse). Nie zrozumiał za dobrze, dlaczego określano go mianem nieustraszonego bohatera na usługach Kościoła, wyrazicielem myśli czy rycerzem kontrreformacji (L. Gothein), ale jego zdumienie sięgnęło zenitu, kiedy stwierdził, że w innych książkach opisywano go jako historyka, człowieka żydowskiego czy antygermańskiego ducha, okultystę czy tajemnego guru. Nie do wiary! Znacznie przyjemniejsze wydało mu się skojarzenie krajana, Miguela Unamuna, który porównywał go do Don Kichota. Czy wytoczyłby proces wszystkim tym, którzy go oczerniali, czy wystąpiłby do papieskich lub cywilnych trybunałów w obronie swego dobrego imienia lub „prawa do wizerunku”, tak jak tyle razy robił to za życia? Rzeczywiście, niektórzy ludzie w niezwykle malowniczy sposób wcielali w życie maksymę, którą on sam umieścił w *Ćwiczeniach*: „zawsze [...] starając się znaleźć to, czego chcę” [ĆD 76]. Jakież to tajemnicze *starali się znaleźć* w jego życiu?

Zamknął książki, kiedy ktoś z obsługi przyszedł po niego, oznajmiając, że będą zamykać. Pożegnał się z życzliwym zakonnikiem z centrum duchowości i powoli zaczął się oddalać od rodzinnego domu-warowni. Przemierzając szeroką niezabudowaną przestrzeń rozciągającą się przed domem, natknął się na pomnik na wysokim piedestale: Święty Ignacy Loyola. Kilka metrów dalej dokazywała rozbiegana grupka chłopców. Słysząc było ich głośne krzyki: Iñigo, Iñaki, Ignacio! Jeden

z chłopców wlepił wzrok w Pielgrzyma zaskoczony faktem, że ten od dłuższej chwili stoi nieruchomo i wpatruje się w tak bardzo sobie znajomą postać. Czemu on się tak przygląda? Oczywiście nie rozpoznał go. Pielgrzym odchodzi, gubiąc się w słonecznym popołudniu. Zaczyna się wspinać na stok Izarraitz. Zostawia za sobą dolinę, która stopniowo oddala się i ginie w dole. Widnokrąg robi się coraz szerszy, coraz rozleglejsze niebo. Lekka mgielka sprawia, że błękity wieczoru stają się delikatniejsze, podczas gdy na niebie rozbłyska Wenus i pojawiają się pierwsze gwiazdy. „Jakże nędzna i niska wydaje mi się ziemia, kiedy spoglądam na niebo!”.

* * *